

# Zdaniem adwokata

Jak pogodzić dobra osobiste każdego człowieka z dziką lustracją, która ma u nas miejsce? Wyniesienie przez Bronisława Wildsteina z IPN listy agentów i kandydatów do współpracy, wzbudziło zachwyty wielu środowisk, chociaż trudno było dociec, czy figurujący na liście Jan Kowalski to agent, kandydat na agenta, czy też pokrzywdzony przez esbecję. Sukces Bronisława Wildsteina był oczywisty. Wielu ludzi tłumaczyło się z niepopelnionych win, w tym również znany i lubiany aktor Piotr Fronczewski. No i tłumaczył się zupełnie niepotrzebnie, bo już wkrótce okazało się, że Piotr Fronczewski z listy, to nie nasz znakomity artysta, ale ktoś zupełnie inny. Potknięcia te były nawet zabawne, ale gdy prezes IPN ujawnił, że agentem Służby Bezpieczeństwa donoszącym na Jana Pawła II był ks. Konrad Hejmo - nawet najwięksi poszukiwacze sensacji wstrzymali oddech, a "autorytety", które jeszcze wczoraj zachwycaly się odwagą pana Bronka i krzyczały "Wildstein na prezydenta" - zaczęły nagle krytykować profesora Kieresa i oskarżać go o popełnienie przestępstwa. Skąd tyle emocji? Odpowiedź jest prosta, można ją uzyskać bez trudu, parafrazując nieco Henryka Sienkiewicza: Wszystko zależy od tego czy lustruje Kali, czy lustrują Kalego.

Jak liczna była agentura w Polsce? Z pewnością była liczna. Według niektórych ekspertów w okresie PRL-u dotyczyło to ponad milionowej populacji. Agentura była w wojsku, w zakładach pracy, w mieście i na wsi. Współpracowników SB nie należy mylić z bezinteresownymi donosicielami, którzy pracowicie wysyłałi i wysyłają anonimy na swych sąsiadów, kolegów, wrogów i przyjaciół. Ci społecznicy wymykają się wszelkim statystykom.

O potędze donosu przekonał się przed laty pewien zacny człowiek, który niefrasobliwie dał klapsa siedmioletniemu jedynakowi za stłuczenie wazy z zupą. Maluch postanowił, że nie odpuści. Wyrwał łyżę, wziął kartkę, ołówek i napisał: - „Do Urzędu Bezpieczeństwa! Tata mówi Stalin gupi”. No i panowie z bezpieki bez trudu odnaleźli tatusia, który zanim zdołał się wytłumaczyć, przesiedział w ciemnicy kilka miesięcy o chlebie i wodzie.

Donosicielstwo w Polsce nigdy nie przybrało tak masowego charakteru jak w Związku Radzieckim. W jednej z rosyjskich komedii, którą nakręcono już po upadku ZSRR, pokazano historyczny moment wylądowania na Placu Czerwonym samolotu młodego Niemca, Martina Rusta, który bez większych przeszkód przedarł się przez system obrony powietrznej Moskwy i dotarł do samego Mauzoleum Lenina. Władze natychmiast zarządziły alarm w KGB. Rozkaz o tym dotarł także do Teatru Wielkiego, w którym odby-

wał się spektakl baletowy. I co się stało? Teatr Wielki opustoszał w okamgnieniu. Współpracownikami KGB była jednak nie tylko publiczność, która gwałtem rzuciła się do wyjścia, ale nawet główny solista baletu, który bez wahania porzucił swą partnerkę na środku sceny i znikł za kulisami.

Komedia ta nie była odkrywcza, bowiem jeszcze w latach osiemdziesiątych wątek ten pojawił się w znakomitej komedii Juliusza Machulskiego „Deja vu”, gdy Jerzy Stuhr uświadomiwszy sobie, że wszystkie osoby, które spotkał w radzieckiej Odessie, są pracownikami wiadomego resortu, nie mógł się powstrzymać od zachwyty: - „Fantastyczny kraj, wszyscy w milicji”.

Z rzeczywistością radziecką nic się równać nie mogło. W kraju Rad, jak to napisał Janusz Korwin Mikke - „Cała Cerkiew, z Patriarchą Moskwy i Wszzechrusi na czele, była na liście płac KGB”.

KGB inwigilowało nie tylko cerkiew prawosławną, ale także i inne kościoły, działające zarówno na terenie ZSRR jak i poza granicami tego kraju. Pan T. wspominał, jak w końcu lat pięćdziesiątych starał się o wyjazd z radzieckiego wówczas Lwowa do Polski, a uzyskawszy wreszcie zgodę władz, postanowił podziękować urzędnicze, która pomagała mu w załatwieniu formalności. Odwiedził ją z kwiatami w jej biurze, a tu raptem uchylily się drzwi i do gabinetu zajrzał ksiądz w sutannie. Urzędniczka poderwała

się z miejsca i służyście wyrecytowała: - Dzień dobry, towarzyszu kapitanie, proszę wejść. Ksiądz wszedł do środka, a widząc osobę postronną, zirytował się i wydarł się na nieszczęsną kobietę: - Co wy, towarzyszko? Co wy sobie wyobrażacie? Nie jestem już kapitanem, lecz księdzem. Ukończyłem seminarium duchowne, a w ogóle to najpierw pomyślcie, zanim coś powiecie.

Zdarzenie to miało miejsce już w czasach chruszczowskiej odwilży i nie pociągnęło za sobą przykrych konsekwencji. Mniej szczęścia miała jednak kobieta, która w czasach stalinowskich poszła do cerkwi wyspowiadać się. Poszła, a tu duchowny enkawudzista. Wyслуchał jej cierpliwie, po czym pyta: - I co, cioteczko, bolszewicy prześladowają? - Oj prześladowają, ojczulku, niech ich licho - odpowiedziała kobieta, ocierając łzy. No i nie zdążyła nawet dojść do domu. Aresztowali ją po drodze za antyradziecką agitację i dostała dziesięć lat łagru.

Lustrację rozwiąże czas. Po prostu z czasem odejdzie pokolenie tych, którzy współpracowali lub mogli współpracować z bezpieką. Dziś powszechna lustracja nie jest możliwa z przyczyn czysto technicznych, a wybiórcza, dzika lustracja niczego dobrego przynieść nie może. Pochopne oskarżenie kogoś o agenturę może natomiast skutkować procesem sądowym i warto o tym pamiętać. Wszak *ignorantia iuris nocet*.

Dawid Binemann-Zdanowicz